Ner 45. Kraków, 11go Listopada. 1862.

ROK III.

NIEWIASTA.

Prenumerata w Krakowie wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 6 zł. — c. w. a.
Półrocznie . 3 „ —
Kwartalnie . 1 „ 50 „ „ „
Miesięcznie . — „ 50 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 10 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 5 „ 10 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 55 „ „ „
Miesięcznie . — „ 85 „ „ „

Prenumerata zamiejscowa wynosi:

Bez mód:

Rocznie . . 7 zł. 20 c. w. a.
Półrocznie . 3 „ 60 „ „ „
Kwartalnie . 1 „ 80 „ „ „

Z Modami paryskiemi:

Rocznie . . 11 zł. 40 c. w. a
Półrocznie . 5 „ 70 „ „ „
Kwartalnie . 2 „ 85 „ „ „

„**Niewiasta**“ wychodzi co tydzień w jednym lub półtora arkuszu.

Prenumerujący za granicą Państwa austr., Królestwa Polskiego i Państwa Rosyjskiego płacą rocznie z przesyłką pocztową (bez mody) 8 zł. 30 centów wal. austr.
Nadesłane artykuły honoruje Redakcya zaraz po wydrukowaniu: arkusz druku od 20 do 50 zł. a. w. Autor sam cenę oznacza. — Rękopismów redakcya nie zwraca.
Listy i przesyłki pieniężne należy **frankować** i adresować do **Redakcyi Niewiasty w Krakowie.**
Prenumeratę w miejscu przyjmuje nietylko Redakcya, lecz i księgarnia p. Baumgardtena, równie jak wszystkie dobrze znane Księgarnie.

JOANNA ARK,

czyli

DZIEWICA ORLEAŃSKA.

(Ciąg dalszy).

Joanna, dziecięciem jeszcze będąc, uczęszczała regularnie do kościoła i spowiadała się tak przed miejscowym plebanem, jak i przed zakonnikami pojawiającymi się w miejscu. Pewien świadek mówi o niej: „Nieraz, gdy się młodzież wesoło bawiła, Joanna oddalała się, aby z Bogiem na osobności rozmawiać. Była rzetelnie bogobojną, a gdy, znajdując się na polu, posłyszała głos dzwonów, przyklękała i składała ręce do pacierza; procesyj nie opuszczała i na odpusty chadzała w święto Boga-rodzicy do Bremont.“ Inny świadek mówi, że tak była miłosierną, iż chciała sypiać w sieni, aby ubogim mogła swego łóżka ustępować.

Świadczą także, że chadzała nietylko do kościoła miejscowego, ale i do kaplicy nieopodal Greux, dla modlitwy o powodzenie dla swoich rodziców i o ratunek dla ojczyzny, którę tak gorąco kochała, że i przed ciemięzkim sądem nie wahała się wyznać, iż Burgundczyków od najmłodszych lat nielubi.

Gdy tak trwała na modlitwie pewnego dnia nasza dziewica przed drewnianym obrazem Panny Maryi w kaplicy pod Greux, stało się, że doznała objawienia wśród szmeru jakoby kołysanych liści, wśród dźwięku jakoby dzwonów, i wśród jasnego światła. To się nieraz powtarzało i widywała Joanna istoty nadziemskie, które ją napominały, by trwała w chrześciańskich cnotach i dziewictwie; które jej oznajmiły, że powolaną jest do wydobycia Francyi z przepaści i do przywrócenia tronu prawemu następcy Ludwika świętego. Piękność tych istot była niezwykła, były oskrzydlone, koron jednakże nie miały; znajdowały się w otoczeniu wielu aniołów. W jednej z pomiędzy nich rozeznawała archanioła Michała, który rzekł do niej: oto Bóg ulitował się nad Francyą i pójdziesz w pomoc królowi. Dziewica, przeświadczona o swojem posłannictwie, postanowiła je spełnić; jakoż nawet oświadczenie, się pewnego młodzieńca z Toul, który ją w małżeństwo zażądał, niezachwiało bynajmniej jej postanowienia. Co więcej, gdy tenże, nie chcąc od zamiaru odstąpić (a licząc na to, że dziewicy zabraknie stałości, że może nawet sprawy w oddalonym sądzie duchownym zaniedba i zaocznemu wyrokowi ulęgnie) wytoczył jej proces, ona nie wahała się stanąć na terminie i odprzysiądz, iż nigdy nieuczyniła przyrzeczenia pójścia za mąż.

Im bardziej dojźrewała Joanna, tem częściej widywała nadludzkie istoty i słychywała ich głosy. Z początku nikomu nic niepowiadała o swoich zjawiskach, nikomu, ani rodzicom, ani plebanowi, bo z ich właśnie strony obawiała się przeszkód. Lecz cokolwiek później wymówiła się kilkoma słowy, które w ojcu obawę wznieciły, aby dziewica nieporzuciła tajemnie rodzicielskiego domu. Matka spowodowana przykrym snem ojca, ściągającym się na córkę, upominała ją, by rodzicom nie robiła zgryzoty. W skutek tego Joanna na chwilę odłożyła swoje zamysły.

Stało się wnet, że Burgundowie rozpuścili nieprzyjacielskie zagony w okolicy, i dziewica musiała wraz z rodzicami umykać z rodzinnej wioski. Ta okoliczność nie mogła jej nastroić przyjaźnie dla nieprzyjaciół ojczyzny, i niemogła w niej na nowo nie obudzić myśli dania ratunku królowi.

Postanowiła więc dostać się do niego mimo wszelkich przeszkód, i zwierzyła się z tem staremu swemu wujowi Duraadowi Lexard, w którego sukniach chciała udać się do Roberta de Beudricourt w Vaucouleurs. Jednakże za poradą wuja uczyniła to niebawem w jego towarzystwie we własne szaty odziana. Robertowi rzekła: Nim czterdzieści dni upłynie, być mi koniecznie u króla, boć nikt nie uratuje Francyi, ani królowie, ani hetmani, ani córa króla szkockiego; dla Francyi tylko przezemnie jest ratunek, przezemnie, która wolałaby u biednej swojej macierzy trudnić się szyciem: boć, co zamierzam, to nie moje właściwe powołanie; ależ koniecznością jest abym szła i uczyniła, co jest wolą mojego Pana Boga.

Nie zaraz i nie bez wielkich przykrości dla Joanny, którę księża nawet wybadywali, skłonił się Beudricourt do odesłania jej do króla, a porwany jej natchnionym zapałem darował jej nawet miecz.

Przed podróżą do króla udała się Joanna w towarzystwie wuja Duranta Lexarta i Jakóba Alain do słynącego z odpustów miejsca St. Nicolas, o kilka mil od Nancy, dla pokrzepienia się nabożeństwem.

Po odbytem nabożeństwie powróciła do Vaucouleurs. Tutaj przyrzekło jej kilku rycerzy, iż ją odprówadzą do króla. Jan de Novelonpont i mieszkańcy Vaucoulers dali jej cały przybór męzki, miecz i konia 15. franków wartości.

Przyszedłszy do tego wszystkiego, udała się po mianej rozmowie z merem z Chaumontu do Karola, książęcia lotaryńskiego, a to na tegoż własne żądanie. Być może, że książę chciał ją dokładniej zbadać z polecenia królewskiego. Dziewica tak przyjazne zrobiła na nim wrażenie, że prócz innych rzeczy darował jej karego rumaka i cztery franki na drogę.

W niedzielę dnia 13go lutego 1429 r. ruszyła nasza dziewica dla uskutecznienia swego zamiaru z Vaucouleurs w podróż bardzo utrudzającą, w towarzystwie swego wuja Lexarta, swego brata Piotra, rycerzy Bertranda de Poulegny, Jana de Metis, Jana de Dieu-le-Ward, i królewskiego wysłańca Colleta de Vienne. Zgromadziło się mnóstwo ludzi. Towarzysze jej, wprzódy nie wiele mający ochoczej odwagi, niepokładający dosyć ufności w Bogu, urośli na duchu, patrząc w jej oblicze.

Nie jeden, co ją niedawno poczytywał za szaloną, za czarownicę, i był za tem, aby ją uwięziono, inną powziął myśl, przenikniony jej wzrokiem, przysłuchawszy się jej mowom.

Wieść o posłannictwie dziewicy przelatywała po kraju wzdłuż i w szerz skrzydłami największego pospiechu. Zatrwożyła bardzo jej rodziców—tak, że byliby ulegli zbyt silnemu wrażeniu, gdyby i w ich sercach wiara niebyła zastąpiła niewiary, wątpliwości wszelkiej — Joanna postarała się o napisanie do nich pokornego listu, zaczem jéj dali przebaczenie.

Kochany brat towarzyszył jej ustawicznie,

(C. d. n.)

Poezye

Adama Bełcikowskiego.

PRZY KSIĘŻYCU.

(Z Wiktora Hugo).

Per amica silentia lunae.
Virgil.

Srebrny księżyc po fali drgał światła pręgami,
Wiatr letni sieć powietrzną cichem skrzydłem porze,
W oknie stoi sułtanka i patrzy na morze,
Co dzierga czarne wyspy srebrnemi pianami.

Z jej palców, jeszcze drgając, upada gitara.
Słucha... Echo tłumione niesie głosu ślady.
Czy to okręt turecki, co rzucił Sporady,
Bije po greckiem morzu wiosłami Tatara?

Czy to pluszczą się morskie po bałwanach kruki,
Krając wodę, co w perłach po ich skrzydle spływa?
Czyto kawka na wieży tak wrzeszczy krzykliwa,
I rzuca w morze... blanków zgruchotane sztuki?

Któż spokój wód w pobliżu seraju tak miesza?
O, nie jest to kruk morską kołysany falą,
Ni głos gruzów, co z pluskiem w głębiny się walą,
Ni pod ładownym statkiem fal krzycząca rzesza.

To ciężkie wory tak się ozwały jękami,
Gdybyś w głąb morza wzrokiem mógł swoim się dostać,
Ujrzałbyś w nich takiego coś, jak ludzka postać...
Srebrny księżyc po fali drgał światła pręgami.

Biedny chłopiec.

(Romanca).

Po spienionej morskiej wodzie
Mała łódka kark swój wspina;
Chłopiec stoi na jej przodzie,
Śliczna siedzi w niej dziewczyna.

Przestrzeń morza ich rozdziela
Od ojczyzny, od rodziny —
Taka wielka ta topiela!
Tak ogromne jej głębiny!

„Nie płacz, żem od matki łona
Porwał ciebie, uniósł skrycie!
Dla mnie byłabyś stracona —
A jam kochał cię nad życie!

„Przestań płakać!... łzy twe słone
Żarem w serce mi padają.
Patrz!... tam przez mgły rozjaśnione
Obce brzegi nas witają.

Cóż napowrót ciebie woła?
Ma cię miłość nie weseli...
Nie płacz... bo cień twego czoła
Zmyję śmiercią w tej topieli!"

Lecz dziewczyna ciągle szlocha,
Na głos jego niedba wcale.
Może ona go nie kocha?...
Chłopiec w sine patrzy fale.

W ręce skryła cudne oczy;
Oh, jak dobrze uczyniła!
Chłopiec w zimne nurty skoczy —
Tylko woda się spieniła.

A łódź samą, bez sternika,
Wraca fala rozpieniona;
Dziewczę z łódką się pomyka
W ojca, matki swej ramiona.

ZAGRANICA.

Powiastka niewieścia;

przez

Paulinę z L. Wilkońską.

(*Ciąg dalszy*).

II.

Już się zanurzył — już w odmęcie tonie!
Z Szyllera.

Oj nie wszystko próżne mary,
Co się człeku marzy!
Teofil Lenartowicz.

24go września napełniły się salony w Lubońsku licznem zebraniem. Pani domu, sędziwa marszałkowa, wysoka, chuda, siwowłosa, całkiem popielato ubrana, z uprzejmością dawnych pań polskich honory domu czyniła. A pomagały jej w tym trudzie... nader miłego wejrzenia pani Bieniewska, i zawsze jeszcze piękna panna Cześniowska.

Pod oknem, oplecionem bluszczem, przy klombie z drzewek pomarańczowych i kwiatów różnych, siedziała na ładnej *couseuse* Irma — ubrana w suknią białą, z materyi *glacé*, z tuniką, przyozdobioną arabeskami, haftowanemi jedwabiem czarnym, purpurowym i złotym; szarfę z czarnego aksamitu, odznaczającą korzystnie jej kibić, spięła brylantową agrafą; na głowie miała wieniec z pąsowego *geranium*. Irma w tym stroju prześliczną była, a i przywołała jeszcze dziś to wszystko, czem oczarowywać umiała. Obok niej na taburecie zasiadł pan Jerzy Poraj, i niby duszą całą do tego przyrósł miejsca, i niby o reszcie zapomniał świata. Rozmowa ich była ożywiona, bo nietylko oczy, ale i usta mówiły. Sypały się dowcipy i wesołe uśmiechy. A w koło szeptali sobie wszyscy:

— To będzie para!

Pani Wągrowska, prawiąc o Paryżu, raz po razu z zadowoleniem rzuciła wzrokiem ku córce; i twarz poczciwa jej męża także wypogodniała widocznie.

Byłoć tam może w tem gronie zebranych osób i kilka niezadowolonych; lecz umiały to znać lepiej pokrywać, bo tylko na licu pani Bieniewskiej jakiś cień zaległ — i jakoś raz i drugi niespokojnie przez okno na dziedziniec wyjrzała.

— Ale co też to znaczy — zaczęła wreszcie i pani domu — że państwa Nasielskich nie widać?... Czy tylko nie jaki wypadek?... — dodała niespokojnie.

— Wyjechali wczoraj z Warszawy, mieli zanocować w * — odezwała się panna Cześniowska — do kolei ztamtąd mila, koleją jedzie się godzinę, a od kolei...

— Pół milki tylko!... Powinniby już być. Moja Maryniu — dodała pani marszałkowa ciszej — wyszlij umyślnego! — i panna Cześniowska wysunęła się z salonu.

Irma zachwycała właśnie towarzystwo ślicznie odśpiewaną aryą z *la Troviata*, gdy zaturkotało przed pałacem, a pani Bieniewska z radosnym zawołała wyrazem:

— Przyjechali! — i spiesznie wybiegła.

Za chwilę potem weszli do salonu państwo Nasielscy, pani Marzecka i Zofia.

Zofia ładniutka, w białej, lekkiej sukience, świeżej jak śnieg, co upadł dopiero, z białą szarfą, we wieńcu z prześlicznych fiołków, wyglądała jak wdzięczna rusałka — ale.. daleko jej było wszelako do Irmy, którą młodzież *czarodziejską wieszczką* przezwała.

Pani marszałkowa serdecznie uścisnęła krewnych — i z życzliwością przywiązanej babki milutką popieściła Zosię.

W tem Irma— wysunąwszy się z gracyą z poza fortepianu, skinąwszy wdzięcznie Jerzemu, który jej krzesło był odemknął — stanęła z wesołym uśmiechem przed Zofią, w nieco teatralnej pozie, i... unosząc zlekka ślicznie utoczone ramiona, dźwięcznym wymówiła głosikiem:

— Zosiu! czy mnie poznajesz?

Zofia się obróciła.

— Irmo! — zawołała stłumionym przez wzruszenie głosem, i rzuciła się w jej objęcia.

Irma śmiała się — Zofia miała oczy łzami zalane, i pociągnęła siostrę do drugiego pokoju, zmięszana widocznie, że to działo się wśród tylu świadków.

— Nie widziały się od lat pięciu, wytłómaczyła pani Bieniewska to powitanie panienek — a kochają się, jak siostry rodzone.

Po długiej dopiero chwili powróciły obiedwie, trzymając się za ręce; na licu Zofii łez ślady i pomięszanie były jeszcze widoczne. Irma z wdzięcznym wyrazem i ruchem powabnym posadziła siostrzyczkę przy sobie.

— Pan Jerzy Poraj — przedstawiła Zofii pani Bieniewska kuzyna, a młoda dziewczyna, zapłoniona, w pomięszaniu pełnem dziewiczego uroku, skłoniła się na uprzejmy pokłon młodziana.

Jerzy usiadł znowu obok na taburecie. Rozmowa znowuż potoczyła się jak lawa, lecz Zofia mały tylko udział w niej brała, lubo że grzeczny kuzynek kilkakrotnie zwrócił się ku niej. Za to Irma *brylowała rutyną konwersacyi salonowej*. (Och, jakiż stek obcych wyrazów! ależ to jest w rodzaju Irmy).

Wieczorem, po wystawnym a długo trwającym obiedzie, przy którym Jerzy znowu był sąsiadem Irmy, rozpoczęły się tańce. Pierwszego kontredansa tańczył także z Irmą, a mazura z Zofią. Był grzecznym i uważającym dla wszystkich, tańczył ze wszystkiemi pannami z kolei; ależ widocznem było, że go Irma zaczarowała.

— Przepadł! — poszepnęła pani Bieniewska pani Marzeckiej — żałuję go z duszy całej.

— Może się ułoży — odrzekła również cicho druga— kochając męża, pokocha i dom, życie na wsi i obyczaje nasze, a zapomni o Paryżu i Włoszech.

Pani Bieniewska smutno pokręciła głową.

— Prześliczna! — wymówiła znowu pierwsza.

— Otóż to właśnie!... A ja życzyłabym jemu inaczej! Marzyłam!... — i pani Bieniewska mimowolnie spojrzała się w stronę, gdzie ją niby magnesowo pociągała Zofii postać powabna.

— Mamy już podobno zięcia! — wymówiła z cicha, ale tryumfująco, pani Wągrowska, wieszając się mężowi na ręku.

— Hm! hm! — odkrząknął ojciec Irmy z zadowoleniem — majątek znaczny, imie piękne, chłopiec zacny, nie utracyusz, nie *sportsman*, nie *fanfaron* żaden, gospodarz, rozumny, a przytem i ładny, przystojny...

— Boć też nasza Irma!.... Czyż nie wychowałam jej wzorowo? — i pani Wągrowska wachlarzem uderzyła męża po ramieniu, zaglądając mu w oczy ze znaczącym uśmiechem. — Żadna jej nie dorówna! To zagranica nadaje!

— Niech go tylko czem nie zrazi! — zauważył małżonek.

— O!...

— Naprzykład paplaniną o tych *hecach*... przeklętych — dodał ciszej, przez zęby.

— Cicho! cicho!

I małżeństwo usiadło przy pani marszałkowej. Po chwili znowu podniosła się matka Irmy, przystąpiła do pani Bieniewskiej, ujęła ją pod rękę, i wodząc ją po salonie, rozpoczęła poufną, serdeczną, przyjaźnią nacechowaną gawędkę; powierzyła jej, że Irma miała za granicą parę znakomitych partyj, ale nie poszłaby nigdy, przenigdy za cudzoziemca.

— Zniej taka dobra Polka! — dodała — i my także nie zezwolilibyśmy na podobne małżeństwo, lubo, że to byli ludzie postawieni wysoko.

Potem, we większej jeszcze tajemnicy, opowiedziała *kochanej kuzynce*: że Irmie oświadczył się hrabia ....ki, ale, że córki jej nie nęci majątek wielki, ani świetna pozycya, że uczucie jej nie przemówiło za hrabią, — więc odmówiła, bo nigdyby ręki nie oddała bez serca.

— Przed mężem moim mamy to w sekrecie — dodała z uśmiechem — bo łajałby dziewczę, i mnieby się dostało: ojcowie mniej są wyrozumiali.

Pani Bieniewska słuchała tego wszystkiego z wszelką uprzejmością; ale w duszy była zniecierpliwiona troszkę.

Zabawa i tańce przeciągnęły się do rana. Irma usnęła z rozkosznym na ślicznej twarzyczce uśmiechem — marząc, że z Jerzym płynie ozdobną gondolą po wielkim kanale Wenecyi; to znowu, że wybiera się na bal do cesarzowej Eugenii.

Nazajutrz dopiero około południa wszczął się ruch ożywiony w pałacu lubońskim. Zofia ranek spędziła w pokoju Irmy, a czego się tam nie nasłuchała wszystkiego!... niewarto o tem mówić.

O drugiej godzinie zebrali się goście w salonie.— Irma przechodziła się po nim, ciągnąc przy sobie, niby prądem magnetycznym — pana Jerzego Poraja. Oko jej świeciło, lica kwitły, uśmiech igrał na ustach, słówka sypały się wdzięcznie, a przystrój gustowny, paryski, dodawał całej postaci większego jeszcze powabu. A Jerzy?... Słuchał z zajęciem, jasnem patrzał się okiem, i niby odczepić się nie mógł od czarodziejskiej wieszczki.

Na boku, przy oknie, usiadła pani Bieniewska, przy niej Zofia, mniej wesoła, aniżeli zwykle bywało: jak gdyby chmurka na niebo jej młodej, zawsze tak pogodnej, była zawiała duszy. Uważano, że gdy panny weszły do salonu, Irma od razu opuściła Zofią, a zawiązała z Jerzym rozmowę, nie zważając już wcale na nią, i.. może to młodą, łacno dotkliwą drasnęło dziewczynę.

Po chwili usiadła Irma przy fortepianie i zagrała jakąś dźwięczną kompozycyą *Schulhofa*. Jerzy stanął za krzesłem, a gdy skończyła, i któryś z kawalerów do niej zagadał, usunął się Poraj, pokręcił jakoś po salonie, potem przystąpił do Zofii i zapytał, pochylając się uprzejmie:

— Pani pewno wiele zajmujesz się także muzyką?

Zofia lekko pobladła — jak uważała pani Bieniewska — i odrzekła cokolwiek nieśmiało:

— Lubię bardzo muzykę. .. Grywam dosyć, lecz tylko dla rodziny mojej i dla własnej przyjemności.

— Dla czegóż tak *tylko?* — Jerzy przysunął krzesło i usiadł.

— Nie gram tak dobrze, ażebym się przy obcych mogła odważyć — i lica Zofii świeżym zakwitły rumieńcem.

— Jesteś tylko zbyt nieśmiała — ozwała się pani Bieniewska — i za mało sobie ufasz.

— Pozwól pani! Prosimy! — Jerzy powstał i z półukłonem podał jej rękę, właśnie gdy Irma opuszczała fortepian.

— Uwolnij mnie pan! — prosiła Zofia, składając dłonie, i błagalnie ślicznemi oczami spojrzała ku niemu— nic nie umiałabym zagrać.

— Na raz drugi — dodała pani Bieniewska znowu.

Jerzy się skłonił, dawniejsze zajął miejsce, i począł mówić o muzyce, w ogólności i w szczególności; od muzyki przeszedł do piśmiennictwa krajowego, i zajmująca toczyła się rozmowa. Zacna ciotka z przyjemnością uważała, jak ożywiła się Zosia, jak dobrze znała pisarzy naszych, i jak dobrze o wszystkiem mówić umiała.

W tym czasie Irma usiadła przy marszałkowej i wiele jej tam z wielkiem ożywieniem prawiła. Po chwili wszelako już znowu siedziała przy Zofii — pochwyciła od razu berło dalszej pogadanki, a Zofia umilkła.

Pod wieczór nieco ubyło gości, a późno po herbacie odjechał i Jerzy do swojej Kalinówki.

Irma z Zofią stały na balkonie.

— Oh! ten jego Huragan! — poszepnęła pierwsza — chciałabym na nim pogonić.

— I miałażbyś tyle odwagi? — zdziwiła się druga.

— Oo! .. — zaśmiała się Irma. — Lecz cicho o tem! — położyła palec na ustach i obejrzała się w koło — bo gdyby ojciec posłyszał!... Mnie i wspomnieć o tem nie dadzą.

— I nie mówiłaś także panu Jerzemu? — zapytała Zofia nieśmiało.

— Nie, nic!... Ale wiesz... — wymówiła z poszeptem, opierając się na ramieniu siostry — Jerzy dosyć mi się podoba.... przypomina mi *kogoś* w Paryżu — uśmiechnęła się znacząco — byle tylko nie został *obywatelem* waszym — skrzywiła się dziwnie — żył dla świata... to i... kto wie?

Zofia spojrzała się na nią, i niby pobladła — ale to pewnie tylko srebrnawy promień księżyca pobielił lica dziewczęcia.

— On ma wszelkie środki do innego życia — ciągnęła Irma dalej, niechby tylko na zagrodzie nie marniał....

— Nie pojmuję, nie rozumiem ciebie! — zawołała Zofia, gdzież dlań jest właściwsze miejsce, jeżeli nie tutaj! Jeżeli nie w oddanym sobie majątku! Ileż tu może dobrego zdziałać, jaki wpływ wywrzeć! A jestże piękniejsze stanowisko, nad stanowisko obywatela? zwłaszcza, jeżeli sumiennie obowiązki wypełnia swoje... Irmo! — i złożyła dłonie — Irmo! siostro moja! Nie baw się w uwidzenia tak mylne!.... A jeżeli.... — cichym dodała poszeptem — jeżeli zostaniesz żoną Jerzego...

— To i cóż? to i cóż? — zaśmiała się Irma.

— To jego kieruj się zdaniem i zasadami.!

— Mam sobie wziąć guwernera, mentora! — i roześmiała się znowu.

— Jerzy jest tak szlachetny!... A nie zwódź go z drogi — dodała ciszej jeszcze — po której z taką postępuje prawością!

— Oh, Zofio, jakaś ty *naiwna!* — Irma pociągnęła ją na kanapkę — i długo jeszcze rozmawiały z sobą.

Pani Marzecka, zajmująca jeden pokój z Zofią, uważała, że siostrzanka długo zasnąć nie mogła, i zdawało jej się nawet, że zcicha płakała. Przez względność wszelako o nic się nie zapytała.

Dnia następnego z rana była Zofia w pokoju pani Bieniewskiej. Okno było otwarte, a poza jeziorem Kalinówka w malowniczym przedstawiała się obrazie. Młoda dziewczyna wsparła się przy oknie, i zadumanem okiem poza-jeziorny ścigała widok — marzyła.

Uważała to ciotka — ale nic nie wyrzekła.

Na przeciwległym brzegu kilku ukazało się ludzi i koń wrony. Popchnięto łódź — a po chwili, wysoka postać mężczyzny, w czarnej pelerynie i słomkowym kapeluszu, wraz z koniem mknęła szparko po modrawej toni jeziora. Wdzięczne lica Zofii zróżowiały nagle — i wychyliła się z okna.

Pani Bieniewska zapytała:

— Cóż to tam upatrujesz?

— Ktoś łodzią nadpływa — odrzekła Zofia więcej jeszcze zapłoniona.

Pani Bieniewska powstała, wyjrzała — i wymówiła:

— To pan Jerzy płynie.

Młoda dziewczyna szybkim ruchem usunęła się od okna, wyjęła robótkę z kieszeni i na taburecie opodal usiadła. Po licu ciotki lekki przesunął uśmiech, ale i zaraz znowu posępny na niem zaległ wyraz.

Gdy w godzinę potem zeszły do salonu, zastały Jerzego w nader ożywionej z Irmą rozmowie. Oko jego jaśniało, był wesół szczególniej, i lica podniecona płonęły mu krasą.

Pani Bieniewska w głębi duszy westchnęła: Biedna Zosia!

W tejże chwili zwrócił się Jerzy do Zofii, i z nią wesołą, żartobliwą pogadankę zawiązał.

Tegoż dnia odjechał pan Wągrowski do domu; lecz żona jego pozostała się jeszcze z córką. A nazajutrz pożegnali państwo z Tarlina gościnny Lubońsk. — Pan Jerzy przybył zrana, by ich pożegnać.

— Zosiu! zobaczymy się za dni parę — wymówiła Irma, całując siostrzyczkę.

Pani Bieniewska dostrzegła łzę w modrem oku Zofii, gdy do powozu wsiadała.

(C. d. n.)

Rzeczy Artystyczne.

MALARSTWO.

LEONARDO DA VINCI.

Życiorys i charakterystykę dzieł jego

skreślił

Władysław z Lewartowa Lewartowski.

(Ciąg dalszy).

Dziś, gdy dzieło to uległo zupełnej zagładzie, znane jest tylko z oryginalnych kartonów niektórych głów, jako też z kopij wykonanych przez uczniów Leonarda. Kartony są robione czarną kredką, i tylko słabo kolorowane. Głowa Chrystusa znajduje się w medyolańskim *Brero*, dziesięć głów uczniów w królewskim zbiorze w Hadze, trzy zaś zostały prywatną własnością pewnej rodziny w Belgii. Pojedyńcze rzuty do *wieczerzy Pańskiej* napotykamy w akademii weneckiej; oryginalny zaś rysunek całej kompozycyi w królewskim zbiorze w Paryżu. Znajduje się też wiele kopij, a z tych na szczególniejszą wzmiankę zasługują: Marca d'Oggione, ucznia Leonarda. Wykonał on jednę olejnemi farbami rozmiaru pierwotworu, ta znajduje się obecnie w akademii londyńskiej; druga zaś w pobliżu w Castellazo w refektarzu klasztornym. Niemożemy tu jeszcze zamilczeć miedziorytu Rafaela Morghen i kartonu pierwotnej wielkości Medyolańczyka Bossi, w galeryi Leuchtenbergu w Mnichowie, według którego tenże wykonał później obraz olejny. Mozajka Rafaella, w kościele Minorytów w Wiedniu przedstawiająca w znacznych rozmiarach *Cenę*, jest też niemałej wartości.

W czasie swego pobytu w Medyolanie wykonał Leonardo model kolosalnej wielkości na statuę Franciszka Sforcy, ojca Ludwika, która miała być odlana z bronzu, i przedstawiać go konno, kształt konia miał najlepiej świadczyć o niepospolitej znajomości Leonarda w zakresie anatomii. Pierwszy model został stłuczony, lecz artysta z niezmordowaną cierpliwością wykonał drugi. Dla braku jednak zasobów pieniężnych, który dał się czuć Ludwikowi w późniejszych latach panowania, nie przyszło do odlewu tego pomnika, a model po zajęciu przez Francuzów (1499) Medyolanu, użyto za cel do strzelania *).

Z mniejszych obrazów, jakie Leonardo temi czasy w Medyolanie wykonał, zasługują na szczególniejszą wzmiankę portrety kochanek Ludwika Sforcy, a mianowicie Cecylii Galleroni, i Lukrecyi *Crinelli*. Z tych pierwszy w Medyolanie, drugi zaś w Paryżu widzieć można. Portret Lukrecyi Crivelli, znany pod nazwą: Bella Ferroniere, przypomina nieco sztukę XVgo wieku, niewidać w nim ubiegania się za efektem, a mimo to jakieś smętne melancholiczne tchnienie, które spoczęło na licu Lukrecyi, ma coś pociągającego nawet dla nieznawcy.

Zbiór ambrozyańskiej biblioteki w Medyolanie posiada znaczną liczbę bardzo zajmujących pomniejszych utworów Leonarda. Słynniejsze między temi są: Portrety Ludwika Sforcy i jego żony, popiersie kobiety z zamkniętemi oczyma, niektóre pastellowe roboty, a nakoniec Jan św. na puszczy (teraz w Luwrze), tu jednak razi ubieganie się za efektem światła, a wyraz fantastyczny ekstazyi przechodzi prawie w sentymentalność.

Jeden z najpiękniejszych obrazów Leonarda, prawdopodobnie z czasu jego w Medyolanie, jest *Caritas* (matka z dziecięciem). Pierwotnie była to obnażona Leda z dziećmi, później przekształcono ją na Caritas. W rysach matki i owego dziecięcia, które trzyma na ręku, widać jakieś głębokie zmartwienie, jakąś nieograniczoną tęsknotę **). Obraz ten pierwotnie znajdował się w *Cassel*, w nowszych czasach uzyskała go Haga. Prócz wymienionych, posiada Medyolan i jego okolice niektóre oryginalne dzieła Leonarda, jako też i kopie wykonane przez uczniów jego. Tu przedewszystkiem wspomnieć wypada o *Madonnie* z dziecięciem, która się poprzednio w domu Araciel w Medyolanie znajdowała. Marya, z głową pochyloną, trzyma dziecię, które ją chwyta jakby do pocałunku, mając mimo to oblicze ku widzom zwrócone. Kompozycya ta, jako też popiersie *Mater dolorosa* są nader starannie wykończone.

W okolicach Medyolanu jest bardzo rozpowszechniona: Przenajświętsza Rodzina *(la vierge au basrelif)*, której oryginał według wszelkiego podobieństwa znajduje się w Anglii. Marya jedną ręką przytrzymuje na kolanach Jezusa; tuż ze złożonemi rączkami klęczy Jan ś. do którego rwie się Chrystus z dziecęcą pieszczotliwą naiwnością. Po prawej stronie, w głębi obrazu, stoi ś. Józef z założonemi rękoma, po lewej zaś Zacharyasz. Podobna kompozycya jest w galeryi Eremitage w Petersburgu, lecz brakuje tutaj św. Jana, a w miejscu Zacharyasza widzimy ś. Katarzynę. Obraz ten jest z r. 1513, mianowicie z czasu późniejszego pobytu Leonarda w Rzymie.

*) Plan ten istotnie był kolosalny, gdyż według obrachowania, na odlanie tej statuy potrzeba było 1,000,000 funtów kruszczu.

**) Mówi Rumohr w swych trzech podróżach do Włoch str. 70.

Gdy Ludwik XII, król francuski, rozpoczął wojnę 1499 r. z Ludwikiem Maurem o posiadanie księstwa Medyolańskiego, Leonardo niewidząc tu sprzyjających okoliczności dla sztuki, powrócił do Florencyi, gdzie wydał na świat drugie arcydzieło, mianowicie dwa kartony... przedstawiające: 1) Przenajświętszą Rodzinę, (karton ten zwykle znany pod nazwą ś. Anny), drugi zaś Utarczkę jeźdźców. Karton ś. Anny był wystawiony na widok publiczny i zyskał podziw całej Florencyi. Marya trzyma dziecię na łonie, które się zwraca ku świętemu Janowi, obok siedząca św. Anna z wyrazem pełnym ubłogosławienia patrzy na Maryą i wskazuje palcem w górę, symbolizując Boskie pochodzenie Jezusa. Widzimy tu nader wiele powabu w dzieciątku Jezus, miłą powagę w Jego babce, nadewszystko jednak przyświeca skromność i pokora rozlana na obliczu Maryi. Karton ten w zupełnie dobrym stanie znajduje się w akademii londyńskiej. Drugi wyżej wspomniany karton jest większych rozmiarów. Wykonał go Leonardo z polecenia rządu florenckiego w latach 1503 i 1504, ubiegając się o pierwszeństwo z Michałem Aniołem.

Według tego kartonu miało być wykonane malowidło w *Palazzo vecchio* we Florencyi. Przedstawił tu artysta wielką walkę Florentczyków przeciw Nicolo Picinino, jenerałowi księcia Medyolanu Filipa, Marya Visconti, który r. 1440 pod Anghiari poległ. Michał Anioł obrał pierwszą chwilę tego zdarzenia, (Napad na kąpiących się żołnierzy), Leonardo zaś ostatnią, a mianowicie wątpliwą chwilę zwycięztwa. Widać tu czterech zbrojnych rycerzy, którzy natarczywie na siebie następują, w celu odebrania złamanej już chorągwi. Jeden z tych, po prawej stronie, trzymający w ręku chorągiew, z prawdziwie zapamiętałą wściekłością i niesłychanem męztwem, odpiera swego przeciwnika, w czem mu dopomaga drugi waleczny rycerz, mający na głowie zawój nakształt turbana. Na ziemi leży trzech powalonych wojowników, którzy, acz już pokonani, jeszcze walczą z tratującemi ich rumakami, a jeden zastawia się swą tarczą w mniemaniu, iż ta go ochroni od razów tratującego konia. W całej tej kompozycyi widać nadzwyczajne bogactwo fantazyi. Przepych kostyumów i lekkość zbroi są niezrównane.

Oba te dzieła, będące przedmiotem ubiegania się dwóch wielkich artystów o palmę zwycięztwa, były wystawione na widok publiczny i ściągały tłumy widzów i wielbicieli. Przez parę wieków historyczni malarze chciwie je kopiowali, a dzisiaj są znane tylko z późniejszych miedziorytów Edelinka, który według kopij Rubensa rytował: oryginalne kartony bowiem uległy zupełnemu zniszczeniu. Także do dzieł, jakie Leonardo we Florencyi wykonał, należy modlitwa królów (karton) w galeryi Uffizien. W tej kompozycyi pojedyńcze postacie i grupy całe łączą się przez pewien pomrok we większe masy, z którego niektóre osoby przez odbicie i łamanie się światła wyraziściej występują. Cudna to kompozycya, w której modlitwa i głębokie wzruszenie po mistrzowsku są oddane. Przytoczone dzieło niemało wpłynęło na współczesnych Leonarda.

(Dok. nast.)

TEATR.

Z późniejszych przedstawień podnieść głównie należy: dramat czyli raczej tragedyą w 5ciu aktach z prologiem p. t.: *Starosta Wieluński* czyli *Szwedzi w Polsce*. Jest to zupełnie prawie nowe dzieło dramatyczne, bo parę razy dopiero w Krakowie odegrane — a co najważniejsza — napisana oryginalnie na tle historycznem przez młodziutkiego i poczynającego dopiero autora, którym jest hr. Starzyński Leopold. Z tego też stanowiska nie możemy i nie chcemy wdawać się w zbyt surowe ocenienie dramatu. Przyznając jak najchętniej autorowi zarody talentu, a przynajmniej bujną fantazyę, zapał, i jak na wiek jego i doświadczenie zadziwiające obeznanie z wymaganiami scenicznemi, powiemy tylko iż utwor jego ma wszystkie wady i zalety młodocianej żywości, niechętnie skłaniającej się do rozumniejszej refleksyi, bez której piszący dramata i tragedye obejść się nie może. W układzie samego dramatu brakuje też tej koniecznej jedności i całości w działaniu, która dramatu jest logiczną koniecznością, a którą młodzi autorowie dzisiejszych czasów, mianowicie szkoły francuskiej, tak chętnie zastępują pstrokacizną błyskotną zdarzeń, które raczej nerwy drażnią, niżby miały przemawiać do głowy i serca słuchaczów, i rozgrzewać je wielkiem uczuciem, lub zapalać wielkością myśli i działania. A nawet powiedzielibyśmy szczerze jako w rzeczonego dramatu tytule ta zachodzi omyłka, że należało raczej powiedzieć: *Starosta Wieluński* i *Szwedzi w Polsce*. Czyli raczej w jednym mieści się dwa dramata, bo dwoje działań odrębnych, tak słabo z sobą powiązanych, że jedno bez drugtego obejść się może. Właściwy dramat Starosty Wieluńskiego kończy się w drugim akcie. Bo zobaczmy jakie jest zawiązanie: Stary kasztelan ma dwóch synów i wychowanicę, w której kochają się obaj synowie, lecz ona Władysława tylko kocha; o czem brat Zygmunt nic nie wie. Stary kasztelan niegdyś w czasie domowych zatargów zabił ojca swej wychowanicy Heleny, i przysiągł, że z nią syna swego ożeni, któremu też król nagradzając zasługi ojca w dzień ślubu ma nadać Starostwo Wieluńskie. Lecz jeden tylko z młodzieńców jest synem kasztelana. Jest to tajemnica straszna, która od dawna spoczywa w jakimś liście skrzętnie schowanym, bo kasztelan boi się sam rozłamać pieczęć tajemnicy, której rad jest, bo obu kocha zarówno. Kiedyś przed laty wykradziono kasztelanowi syna; wypadek posłużył mu wprawdzie że padł na ślad cyganów, którzy mu jedynaka zabrali, lecz gdy już po nici doszedł do kłębka — miasto jednego znachodzi dwóch małych chłopców, i niema nikogo, coby mu odkrył, który jest jego synem, a który cygańskiem dzieckiem. Zbliża się wszakże dzień ślubu i użyczenia starostwa wieluńskiego. Tajemnicy dłużej ukrywać nie można. Kasztelan oddaje ów list młodzieńcom, aby sami przełamali pieczęć, i przekonali się o swojem stanowisku. Młodzieńcy przysięgają sobie na każdy wypadek miłość braterską. Wypadek odkrywa Zygmuntowi, że Władysław kocha i jest kochany; budzi się zazdrość, gniew!.... w nawale uczuć przełamuje pieczęć, i dowiaduje się, że on jest synem kasztelana, a Władysław dzieckiem cygańskiem. Tryumf pierwszej chwili przeważają szlachetne uczucia. Nastaje walka, wielka, sroga!.. Lecz ona kocha Władysława, bez niego byłaby nieszczęśliwą; uczucie wyższe, szlachetniejsze przeważa, Zygmunt poświęca się, rzuca list w ogień, widzi Władysława idącego do szlubu, i pada zemdlony. W tej całej osnowie jakkolwiek może nie zupełnie świeżej i nowej, jest myśl i walka dramatyczna, jest działanie i rozwiązanie prawdziwie piękne i szlachetne, któremu już trudno sprostać dalszemi choćby najdziwniejszemi zdarzeniami. Lecz autor chciał inaczej. Zawiązał on w prologu jeszcze cieniutką niteczkę intrygową w postaci księcia szwedzkiego kochającego się w Helenie, i żądnego dyplomatyzowania w Polsce na korzyść własnej kieszeni i pretendenta szwedzkiego, bo rzecz cała

dzieje się niby za Jana Kazimierza, i tyleż tylko, a nie więcej jest tła historycznego. Następują więc rozmaite wypadki, tragiczne wydarzeuia, istne *deusy ex machina* szkoły francuskiej, które w końcu nużą słuchaczów, bo są tam jeszcze i kozacy, i przejście podziemne, i udana śmierć starego kasztelana, i Zygmunt jako duch opiekuńczy i czuwający, aż wreszcie kończy się, że Władysław, przez Szwedów zepsuty, ojczyzny i żony przeniewierca, ginie, kasztelan zmartwychpowstaje, książę szwedzki zostaje ukarany, a Zygmunt cnotliwy przychodzi do starostwa i Heleny, Taka dwoistość działana byłaby zła w powieści nawet, a w dramacie jest ona błędem kardynalnym. Młody autor — co się młodym często zdarza — chciał za nadto, i tem właśnie cel właściwy przeminął. Z tem wszystkiem — powtarzamy — jest wiele życia i zapału w dramacie; są rzeczy nawet pięknie pomyślane i pięknie wykonane, a zatem dzieło to dramatyczne uważać zawsze należy jako zadatek przyszłych i lepszych utworów, jako nadzieję nowego wyrabiającego się talentu. Jakoż słyszeliśmy, że dwa nowe dramata tegoż samego autora są już w ręku tutejszej dyrekcyi.

Co do gry artystów była w ogóle bardzo staranna tym razem. Pan *Królikowski* w roli starego kasztelana tem właśnie dowodzi, jak wielostronnym i znakomitym jest talent jego, gdy rolę starca jest w stanie równie dobrze i stósownie oddać i odcieniować, jak i te wszystkie role młodsze i inne charakterystyczne, które przy tutejszym zwykle grywa teatrze. Dowodzi to tylko wielkiego talentu i obznajomienia estetycznego z wymaganiami wszelkiemi dramatycznyemi; jakoż przekonani jesteśmy, że zarówno mógłby być doskonałym sceny kierownikiem, jak jest znakomitym artystą. Panna *Biedrońska* jako *Helena* ma rolkę bardzo małą, bardzo niewdzięczną, bo bierną i płaczliwą, ale w niej ma jedną chwilę, jedno nieledwie słowo, którem wkradającemu się do niej Szwedowi zadaje w oczy kłamstwo, i to z taką prawdą tragiczną wypowiada, że tem jednem słowem podnosi rolę swą, i składa świadectwo pełnego życia i ciepła talentu swego. Żadna z tragicznych znakomitości nie powstydziłaby się tej chwili i tych słów tak silnie podniesionych. Odznaczyli się jeszcze p. *Benda* w roli *Władysława* i p. *Baranowski* w roli *księcia szwedzkiego*.

O dalszych przedstawieniach nie wiele mamy co dodać. Grano mniej więcej dobrze znane sztuki, jak np. *Miód Kasztelański*. Jest to utworek ładny; daje się miło słuchać; ale w końcu nic w myśli ni w sercu nie zostaje, a co najgorzej, że całe zawiązanie i rozwiązanie choć do niego wchodzi i miód polski i polskie nazwiska i polskie ubiory, nie jest przecie polskiem. W całej intrydze jest coś obcego, mianowicie francuskiego. Mimo jakichś nadto widocznych nieporozumień między aktorami a suflerem (na które by dyrekcya uwagę swą zwrócić powinna) grano wybornie.

Wiesław poszedł także doskonale. P. *Benda* — powtórzymy to sto razy — jest typem krakowiaka prawdziwego. Nic prawdziwie więcej dodać, nic więcej żądać nie można. W ogóle — dodamy — grają wprawdzie sceny krakowskie i w Warszawie i we Lwowie. W Warszawie będzie niby balet — we Lwowie blade naśladowanie; ale tylko w krakowskim teatrze można widzieć i słyszyć prawdziwych krakowiaków.

Wspomniemy jeszcze o komedyi: *Majątek albo Imie*, odegranej tak starannie, iż to przedstawienie każdej scenie zaszczyt by przynieść mogło. Prócz pań Biedrońskiej, Safir i pp. Królikowskiego a mianowicie *Wolskiego*, którzy grali doskonale, podnieść musimy grę pani *Krajewskiej*, bez przesady ukończoną w swej całości. Widzieliśmy w tej roli panią Hubertową dawniej Radzyńską, ale nie może iść w porównanie z panią Krajewską.

Gawędy panny Reginy.

(Ciąg dalszy).

W zamku bukowieckim panowała głęboka cisza — nikt go nieodwiedzał, nikt w nim niegościł, przecież panna chorążanka, przywykła do klasztornego życia, wcale się nie nudziła w towarzystwie starej Małgorzaty; śpiewała nabożne pieśni, albo rycerskie dumy, przygrywając sobie na teorbanie, a miała głos prawdziwie anielski — a jeżeli się jej sprzykrzyła muzyka, to czytała żywoty świętych albo kronikę narodową, która pleśnią swoją wcale jej nieodstraszała. Tak mijały dni, tygodnie, miesiące. Nareszcie zbliżyła się i zima, ta straszna macocha dla rodu ludzkiego. W tym to czasie powrócił z Krakowa do rodzinnej zagrody syn pana dzierżawcy, pan Kazimierz, młody, przystojny; przebył lat 7 na usługach pana podkomorzego krakowskiego, obeznał się z wielkim światem, poznał dobrze szkołę rycerską, słowem, był młodzieńcem bardzo wykształconym, jak na owe czasy. Otóż zatęskniwszy za rodzinną strzechą, podziękował za służbę JW. podkomorzemu, który go udarował piękną szablą, wybornym wierzchowcem, a zasyłając braterskie pozdrowienie jego ojcu, pobłogosławił na drogę, i wyprawił do domu; stary, uradowany powrotem jedynaka, obwoził go po sąsiedztwie, przedstawiał, a w milczeniu dumał sobie: Oj żeby to chłopak trafił na jaką poczciwą białogłowę, a ożenił się, ja postarzałem się bardzo, już mi ciężko samemu doglądać własnej chudoby, a cóż dopiero rządzić tak ogromnym kluczem chorążanki!? — Z kolei wypadało go także przedstawić i w zamku dziedziczki. Tak tedy wybrawszy do tego najstósowniejszą porę, pojechał z nim do Bukowca; gdy chorążanka ujrzała młodego i przystojnego chłopca, a z rozmowy, jaką z nią prowadził, poznała w nim zdrowy rozsądek, naukę i ducha rycerskiego, gotowego do wszelkich ofiar, gdzie szło o dobro ojczyzny, pomyślała sobie w duchu: to jest mężczyzna, któremu bym śmiało mogła powierzyć moją rękę, majątek i cały los przyszły. Po odjeździe ojca z synem, chorążanka stawała się coraz smętniejszą, coraz więcej zadumaną, unikała nawet towarzystwa swej jedynej przyjaciółki Małgorzaty, i całe dni prawie trawiła przy oknie, z którego widać było drogę, prowadzącą do dworu szlachcica. Tak trwało z parę tygodni; pewnego poranku powzięła myśl nową, z którą się wcale nie kryła przed poczciwą Małgorzatą, oto myśl odwiedzenia nawzajem dworu szlachcica; rozkazała zaprządz dzielną czwórkę do sani, siadły obie z Małgorzatą i jadą. Do dworu szlachcica było małe dwie mili, w godzinę można je było jak nic przebyć, zwłaszcza saniami; ujechali już więcej mili, gdy na zakręcie drogi konie się spłoszyły, i zamiast pędzić traktem, skręcają na lewo, na ogromne jeziora, które przerażały swoją głębokością, i które w najcięższe mrozy nawet nie zamarzały, woźnica wypadł z sani, a konie w najżywszym pędzie coraz bardziej niosą prawie na powietrzu lekkie sanie z dwoma kobietami, które zamknęły oczy i tylko modlitwą polecają swe dusze Bogu, bo śmierć nieuchronna przed niemi! W tem jeździec, oprószony cały śniegiem, zabiega z boku drogę co koń wyskoczyć zdoła, z wydobytą szablą dobiega, dwoma cię-

ciami szabli kładzie oba przednie konie na ziemię, sanie się zatrzymują, a on, skoczywszy z konia, ratuje prawie już nieżywe niewiasty. Chorążanka przyszła do siebie z omdlenia, spojrzała na młodzieńca i rzekła:

— Panie Kazimierzu, ocaliłeś mi życie, od dziś dnia jesteś panem mojego majątku, rozrządzaj nim jak twoim własnym.

— O nie pani! — odpowiedział młodzieniec — majątku nie przyjmuję, dosyć dla mnie szczęścia, że mnie niebo wybrało na twojego wybawcę; nadbiegł wkrótce i woźnica, który wypadł z sani, oderznął dwa ubite konie, a opatrzywszy rzemienie, które wcale niebyły naderwane, zawrócił sanie i prowadząc konie za cugle, wracał do głównego traktu; pan Kazimierz, dowiedziawszy się o celu podróży panny chorążanki, z największą rozkoszą towarzyszył jej konno! Stary szlachcic uradował się mocno widząc u siebie chorążankę w gościnie, bo lubo ją maska bardzo szpeciła, miała w swoim głosie coś tak tkliwego i porywającego, że, gdy mówiła, to nieśmiał człowiek oddechu wypuścić, aby nieuronić jednego jej słowa, aby się napawać tem anielskiem brzmieniem; gdy mu opowiedziano okropny wypadek, zbladł poczciwy starzec z przestrachu, a w końcu uściskał syna z rozrzewnieniem i pobłogosławił za tę przytomność umysłu, za tak dzielnie wykonany sposób ratunku. W kilka godzin potem pan Kazimierz sam odwiózł chorążankę do zamku, rozumie się bez żadnego wypadku; a że już było późno wieczorem, chorążanka niepozwoliła mu wracać do ojca, ale u siebie w zamku wyznaczyła komnatę na nocleg. Młodzieniec nieopierał się wcale, bo także oczarowany uroczym wpływem harmonijnego głosu chorążanki, radby ją był słuchał całe dni i noce, a cóż dopiero gdy wzięła teorban do ręki! wówczas biedny Kazimierz zalewał się słodkiemi łzami, których ani zrozumieć ani pojąć nie umiał. Nazajutrz pan Kazimierz, zamiast skoro świt wracać do domu, zaledwie nad wieczorem powrócił; w trzy dni znowu odwiedził Chorążankę i znowu dłużej bawił jak zamierzał; potem co drugi dzień, nareszcie co dzień gościł w jej zamku. Stary szlachcic mruczał tylko pod nosem. Zwaryował chłopak! po całych dniach przesiaduje w zamku, i co mu ztego przyjdzie? ożenić się nie ożeni — bo choć ona jest panią swojej woli, i chętnie by może poszła za niego, alež nierówność stanu; on chudopacholski szlachcic, a ona JWielmożna, a wreszcie żenić się ze straszydłem? a jakież by to pokolenie było? — nie, nie, to żadną miarą być nie może. — Tak debatował poczciwy starzec, i zawsze kończył temi wyrazy: — Nie! nie! z tego nic być nie może! —

Przeszła zima, minęła i wiosna, a w zamku bukowieckim nic się nieodmieniło: chorążanka rzewna, śpiewna, a pan Kazimierz po całych dniach zatapia słuch swój w czarownym głosie chorążanki. Nadeszła wilia św. Jana, siedzieli jak zwykle oboje w wielkiej sali, której okna wychodziły na drogę prowadzącą do lasu i dworu szlachcica. Kazimierz w tym dniu był więcej milczącym niż zwykle.

— Czyś chory panie Kazimierzu? — zapytała chorążanka.

— O nie pani, zdrów jestem.

— A o czemżeś się tak bardzo zadumał? czy masz jakie zmartwienie?

— I to nie, myślę w tej chwili o zabobonach naszego poczciwego ludu, myślę o kwiecie paproci, dziś właśnie wilia św. Jana.

(C. d. n.)

Przygoda pana Narcyza.

Ramotka — Nieramotka.

(Ciąg dalszy).

Radość jego była nie do opisania, bo jej przynajmniej nikt nie potrafił opisać; zwykle akuratny w pełnieniu swych obowiązków, w dniu, w którym się dowiedział o swej nominacyi, był roztargniony, wcześniej wyszedł z biura, z dziesięć razy pomyliwszy się przy indykowaniu. Przyszedłszy do domu odczytywał półgłosem z coraz większą lubością ogłoszoną w gazecie rządowej swoją nominacyą, i chodząc po pokoju uśmiechał się.

Nareszcie stanął rozmaitemi zajęty myślami przed małem lusterkiem, zawieszonem na ścianie, i spojrzawszy się w nie zarumienił się. Poczem zaczesał sobie składanym grzebyczkiem włosy, wstrząsnął kołnierzem od tużurka, i zapiąwszy się pod szyję, zrobił piękną postawę, uśmiechnął się, zatarł ręce i znowu od zwierciadła zmierzał ku drzwiom, od czasu do czasu w górę podskoczywszy. Twarz jego promieniła się radością, oczy mu się śmiały, serce biło gwałtownie, a gdyby kto był umiał wsłuchać się w wewnętrzną mowę pana Narcyza, byłby usłyszał te słowa.

— A gdybym ja się teraz ożenił.... Mam pięćset reńskich, ona także będzie mieć z parę set... Ostatni raz, gdym ją widział, była dosyć grzeczna... tak jest... wcale była grzeczna... a dziewczynka co się zowie..., wykształcona... nawet po niemiecku umie.... mógłbym ją do hilfsaemterdirektorstwa zaprowadzić... gra na gitarze... spiewa... a jaka gospodyni... jaka kucharka... przytem sama sobie suknie robi... gospodarna... gospodarna... niewydalibyśmy wszystkiego, bo dajmy na to... (tu pan Narcyz zaczął sobie obliczać wszelkie wydatki domowe). Tak, tak, oszczędziłbym wiele, zebralibyśmy nawet mały mająteczek..... A przytem żona!... Człowiek żonaty dwa razy więcej wart od kawalera. I pan Narcyz spocząwszy z wielkiego wzruszenia na sofce, zaczął sobie wystawiać przyjemności życia małżeńskiego, i po dyssertacyach za i przeciw, które zawsze za stanem małżeńskim przemagały, i po pociągnięciu kilku passyansów, które zawsze na korzyść stanu małżeńskiego wypadały, postanowił silnie... ożenić się.

Postanowienie to niebyło trudnem do spełnienia. Rodzicy panny Rozalii, znając już dawniej pana Narcyza, gdyż pochodził z tego samego co i oni miasteczka, usłyszawszy o tak świetnym jego awansie, przyjęli go z otwartemi rękoma, a panienka, mierząc go podług konstelacyi gwiazd na kołnierzu mundurowym, o jedną gwiazdkę mocniej go pokochała.

Pan Narcyz, niebałamut, postanowił odrazu objawić swój zamiar, z jakim przybył w dom rodziców panny Rozalii. Ten dowód prawości znalazł jak najlepszy odgłos w sercach państwa Ziębów, którzy oświadczyli panu Narcyzowi, że było to zawsze ich życzeniem, syna dawnego przyjaciela, który zdolnością i pracą tak znacznego dostąpił urzędu, zaliczyć do swej rodziny i spodziewają się, iż to ich życzenie niedozna teraz żadnej przeszkody. Panienka oświadczyła, iż zgadza się zupełnie z wolą rodziców, i tak pan Narcyz mógł sobie powiedzieć razem z Cezarem, z którym go niegdyś w szóstej łacińskiej klasie bliższa łączyła znajomość: *Veni! vidi! vici!* (Przybyłem, obaczyłem, zwyciężyłem!)

(C. d. n.)

K. J. Turowski Redaktor odpowiedzialny. — Nakład Redakcyi. — Druk „Czasu". — Rządzca druk. **Antoni Rother.**